

## **Powrót do źródeł**

### **Audycja o Annie Kamińskiej. Transkrypcja**

**Narrator:**

*Piszę aby zrozumieć, nie - wyrazić siebie.*

*Nic nie pojmuję - nie wstydzę się tego*

*Dzieląc niewiedzę z liściem klonu.*

*Więc słów się pytam - mądrzejszych ode mnie,*

*Rzeczy, które trwać będą jeszcze po nas.*

*Mądrości oczekuję od przypadków,*

*Rozumu się spodziewam po milczeniu.*

*Może coś nagle stuknie w nim*

*I załomocę prawdą utajoną, jak duch płomienia w naftowej lampie*

*Pod którą wszystkie nasze schylały się głowy*

*Było to dawno - byliśmy tak młodzi*

*I babcia chleb żegnała nożem*

*Wierzyliśmy we wszystko,*

*Więc teraz - do niczego tak nie tęsknię*

*Jak do tamtej wiary*

**Narrator:** *POWRÓT do źródeł. Powrót Anny Kamińskiej do miasta jej dzieciństwa - Lublina.*

**Anna Kamińska:** Zastanawiam się niekiedy - czym jest poezja? Jest bardzo wiele definicji, ale wszystkie one wydają się albo zbyt ciasne, albo kompromitują się z czasem i tak myślę teraz, że można by określić poezję jako sprawę powrotu. Bo poezja jest powracaniem - wbrew czasowi, który nas niesie, powracaniem do swojego źródła, do rzeczy pierwszych, do przeżyć pierwszych, do siebie samej, czystej, nieskażonej, do trudnej prostoty i prawdy. Dlatego, że rzeczy poznawane po raz pierwszy były właśnie prawdziwymi rzeczami, dlatego myślę, że klucz do każdej poezji - tak jak klucz do każdego ludzkiego życia jest w jego dzieciństwie.

Byłam pełnym dzieckiem - chyba miałam cztery czy pięć lat, kiedy przyjechałam z rodzicami

do Lublina. Tutaj chodziłam do przedszkola, co wtedy nazywało się ochronką. Potem do szkoły - było to na dawnych Starych Bronowicach. Mieszkaliśmy wtedy na ulicy Skibińskiej i pamiętam, że mieszkanie było ponure, biedne i ojciec postanowił wybić okno w kierunku parku miejskiego - to okno jeszcze do dzisiaj jest. Dotychczas pamiętam smak zupy - tak zwanej „dziadowskiej zupy” w przedszkolu, czy smak jabłka, które bardzo rzadko miało się w ręku, które pani wносиła w takiej wielkiej misce i dzieciom rozdawała i może właśnie to sprawiło, że te niektóre przedmioty i rzeczy nabierały dla mnie tym większego znaczenia - jakoś tak się zapisywały głęboko.

Park - mały kościółek, który jest teraz przeniesiony na Kazimierzówkę, szkoła, do której przychodziło się przez tory kolejowe - to była szkoła imienia Marii Konopnickiej, ale nie ta, która teraz jest - taka wielka i piękna szkoła, ale ona była rozproszona wtedy. Niektóre klasy uczyły się w takim obskurnym budynku, gdzieś właśnie koło torów kolejowych i było to bardzo nawet niebezpieczne, ale myśmy okropnie lubiły z koleżankami biegać po tych drewnianych deskach pod torami, tak żeby skakać - po podkładach. Druga część tej szkoły mieściła się już za torem kolejowym. To się nazywało „Kośminek” ta dzielnica. Naprawdę pamiętam okropne warunki tej szkoły i podwórka straszne, gdzie nas wypuszczano na przerwę. A jednocześnie, jednocześnie jest tam coś takiego rzewnego w tym wspomnieniu właśnie tych ciemnych poranków, kiedy trzeba było zapalać lampę w klasie, bo było ciemno i pani wносиła kolorowy papier, nożyczki, że robiło się wtedy zabawki na choinkę... To przedszkole jest bardzo ważne, naprawdę ważne dla człowieka. Dałam temu wyraz w wielu książkach moich. Jeżeli pani pamięta, to właśnie w powieści „Rozmowy z profesorem Daleczko”, w wielu wierszach i w kilku moich powieściach pisanych dla dzieci, a więc w „Żołnierzach i żołnierzykach” i w dwóch takich książkach, które są może mniej znane, bo jakoś szybko się rozeszły, ale przecież rozeszły się do ludzi - to są dwa tomy o malej Mariannie. Jest to książka właściwie trochę autobiograficzna i opisuje takie trudne, dosyć biedne dzieciństwo dziewczynki właśnie na Bronowicach.

**Narrator:** *Na pewno wszystkie rzeczy bardzo prędko znikłyby sprzed oczu, gdyby Marianna nie nadała każdej z nich imienia. Więc pewnego dnia rano Marianna zsunęła się z łóżka w swojej przydługiej koszuli i stwierdziła, że jest już dzień. Wszyscy jeszcze spali. Tak, Marianna upewniła się, że wszyscy śpią. Jakie ogromne to mieszkanie i ile w nim ludzi! Przy najdłuższej ścianie stoją łóżka rodziców. Są z czarnego żelaza i mają błyszczące gałki na poręczach. Ojciec jest straszny! Nawet we śnie. Wydaje się, że jego zamknięte oczy patrzą na Mariannę groźnie, a na twarzy leży czarny cień. Mama śpi niespokojnie, obraca się we śnie. Marianna przykucnęła koło łóżka, żeby zobaczyć, czy mama śpi.*

*- Śpisz mamo?*

*Ale mama nie odpowiada. Śpi. Janek sypia na rozkładanym łóżeczku. Ramiona ma rozrzucone -*

*jakby gdzieś leciał. On tak zawsze. Może naprawdę lata we śnie? Może śni mu się, że jest ptakiem? Legowisko Helenki mieści się na kanapie. Naprawdę „legowisko” - bo Hela zwija się w kłębek jak kot i tylko tuli do siebie nieodstępny jasek. A Paulina? Ojej - Paulina nie śpi. Z jej łóżeczka osłoniętego siatką dolatuje odgłos cmokania. Paulinka ssie zajadle wielki palec i ogromnymi, rozbudzonymi, granatowymi oczyma wpatruje się w Mariannę. No tak, ale Paulina właściwie się nie liczy - jest za mała. Więc szybko, póki wszyscy się nie obudzą, Marianna musi zrobić swoje. Najpierw podchodzi do wielkiego stołu, który zajmuje cały środek pokoju. Stoi jak ogromny słoń na czterech grubych nogach i dźwiga na grzbiecie różne rzeczy, które widać dopiero wtedy, gdy się człowiek wdrapie na krzesło. Wskazujący palec Marianny kieruje się w stronę wielkiego, drewnianego zwierza:*

*- Ty jesteś STÓŁ - oznajmia Marianna - ty jesteś krzesło, ty jesteś szafa, a ty jesteś okno. Mariana stąpa po pokoju na paluszkach i chrzci wszystkie przedmioty - ty jesteś ściana, ty jesteś kanapa, ty jesteś lampa - nakazuje Marianna, żeby się lampie czasem nie zapomniało. I już sama zapomina o lamie - obraca się do kogoś, kto stoi z tyłu - wysoki - prawie taki wysoki jak ojciec i tak samo groźny i milczący. Stoi i tyka, a czasem coś mu w brzuchu chrzęści i lomoce.*

*-Ty jesteś zegar - mówi Marianna podnosząc surowo palec w górę ku okrągłej wąsatej twarzy zegara. Marianna pamięta, jak nie był tu jeszcze zegara. Może to dziwne, ale zupełnie go nie było. A pewnego dnia na obiad ojciec przyniósł wycięte ze złotego metalu cyferki i wielkie wąsy zegara - wskazówki. Pokazał je przy stole i mama witała każdą cyferkę okrzykami zachwytu. To wszystko robił sam ojciec. A potem przyniósł tę wysoką szafkę i zmontował w niej zegar. Są tam duże ciężkie wagi na łańcuchach. Wieczorem ojciec podchodzi do zegara, otwiera go i podciąga ciężarki. Podnoszą się w górę ze zgrzytem. Potem ojciec poprawia jeden wąs zegara - w zegarze coś stuknie, westchnie i w piersi zegara zaczyna się znowu pracowite tik - tak.*

*-Ty jesteś obraz! Obraz przedstawia głowę jelonka. Jest ona narysowana bardzo dokładnie, wycieniowana bardzo drobnymi kreseczkami i kropeczkami. Tego jelonka też narysował ojciec. Jak pełno tu ojca!*

*-Ty jesteś lustro! I lustro oprawił ojciec w ramę wycinaną w esy - floresy. Stoi na stoliku, który ma dwie małe szufladki po bokach i nazywa się „toaletą mamy”.*

*- Ty jesteś Marianna! - woła ktoś groźnie i olbrzymie łapy chwytają Mariannę w pól i unoszą w górę, aż dech zapiera z przerażenia i ze szczęścia. Wielkie łapy wciągają ją na łóżko. Słychać ciężki, głośny oddech, Marianna widzi z bliska - zupełnie z bliska - ciemne zarośnięte policzki, szerokie usta z zębami w środku - te usta mogłyby ją połknąć. Groźne oczy są tuż tuż i błyskają w głębokich, ciemnych oczodołach. To wszystko przeraża Mariannę - ta bliskość, ta wielka twarz, te ogromne ręce, ale nie może przecież krzyżeć, ani wołać ratunku. Z głęboką powagą Marianna podnosi się na łóżku, wycelowuje w groźnego człowieka swój czarodziejski palec i ogłasza wyrok:*

- *Ty jesteś ojciec!*

- *Jak ty mówisz do ojca?! Podbiega przerażona mama i porywa Mariannę ze sobą - do ojca nie mówi się „TY”! Marianna dostaje ostrego klapsa i zostaje odniesiona do swojego łóżka, które stoi w wąskim przejściu za kuchnią, obok żelaznego łóżka babci. Skończyła się władza Marianny. Marianna wybucha wielkim krzykiem. Wtedy wysuwają się ramiona babci, wciągają ją pod kołdrę - ciepło, spokojnie, Marianna cichnie, pochlipuje tylko dla pozorów i zastyga przytulona do babci. Obie oddychają teraz razem. Marianna zamyka oczy, bo dzień dopiero się zaczyna...*

**Anna Kamińska:** Później chodziłam tutaj do gimnazjum, do Gimnazjum imienia Unii Lubelskiej. Najpierw mieściło się to gimnazjum na ulicy Kapucyńskiej, a potem zostało przeniesione do dawnego gimnazjum męskiego przy ulicy Narutowicza. To łączęgowanie po Krakowskim Przedmieściu, tak jak to dzisiaj młodzież na pewno robi - w kierunku zawsze zachodu słońca, prawda?

**Maria Brzezińska:** Tak, tak, aż do Alei Raławickich...

**Anna Kamińska:** Tak, tak, potem Stare Miasto, no i wojna i okupacja - co naprawdę bardzo mnie związało z tym miastem, bo tutaj właśnie przeżyłam te ciężkie lata. Tutaj i na wsi pod Lublinem, gdzie uczyłam się sama, zdawałam tajną maturę właśnie w Lublinie, w mieszkaniu mojej matki i tutaj sama uczyłam dzieci... Z samym cmentarzem - ile mam wspomnień! W czasie okupacji na przykład tutaj przychodziłyśmy z moją siostrą i z grupką dzieci, które były dożywiane przez tak zwane RGO - przychodziłyśmy tutaj na cmentarz wojskowy i ozdabialiśmy mogiłki żołnierskie biało-czerwonymi flagami, co wówczas, w czasie okupacji nie było czymś najzupełniej bezpiecznym. No - tutaj właśnie na tym cmentarzu gdzie jesteśmy - tuż obok nas jest grób Józefa Czechowicza, tak że wszystko to mnie bardzo wzrusza i jest moje.

**Maria Brzezińska:** Zaczęłyśmy mówić właśnie o tym okresie okupacji i tu chciałabym się zatrzymać chwilę dłużej nad książką - to już pani powiedziała, że to jest moja ukochana książka - „Rozmowy z profesorem Daleczko”. Poświęciła ją pani właśnie nauczycielom czasów wojny i okupacji. Czy to się też działo w Lublinie? Na ile jest to...

**Anna Kamińska:** Na pewno jest to książka w dużej mierze autobiograficzna, to znaczy bohater jest mężczyzną - młodym człowiekiem, nie wymieniam również nazwiska tego profesora, to znaczy - owszem - nazywam go „profesorem Daleczko”, podczas gdy on się nazywał inaczej. Jego prototypem był profesor Mieczysław Popławski z KUL-u. I właśnie u niego zaczęłam się uczyć greki w czasie okupacji i prawdą jest, że to ja właśnie jeździłam na rowerze w deszcz, zawieruchę, z narażeniem często na wielkie niebezpieczeństwo [...] ze Świdnika do Lublina na te lekcje greki, na czytanie wspólne jakiś historyków łacińskich i wszystko dzieje się właśnie wśród tej grozy okupacyjnej, tuż niedaleko Majdanka, tuż niedaleko Zamku, gdzie było tylu więźniów

politycznych, pośród łapanek na ulicach. A tutaj siedzi właśnie student z profesorem i rozmawiają na temat literatury, poezji greckiej i łacińskiej, na temat historii...

**Maria Brzezińska:** Sprzed tysiącleci, prawda?

**Anna Kamińska:** Tak, i to zdawałoby się, że to jest absolutny kontrast, tymczasem właśnie to było potrzebne, było jakimś przechowywaniem tej kultury, w której człowiek może uzyskać wolność - innego rzędu wolność, prawda?

**Narrator:** *Rano zrywam się z pierwszym światłem. Po nocy nieprzespanej czuję się podniecony jak po tęgim winie. Są tacy, co piszą dla rozpedzenia nudy, ja - może po to, aby zalać nudą słów niepokój, cierpienie, mękę. Chwytam za pióro i piszę o Cesarstwie Rzymskim. Na niebie blaknie księżyc i staje się lekki jak opłatek, a wschód rzuca ku słońcu garść chmur i ptaków. Obrzucam się drwiną i piszę, gryzmołę coś, co mój profesor uzna niemal za pracę seminaryjną. Co raz to między oschłe zdania mojego traktatu wdziera się krzyk lub westchnienie. Wygląda to jak poemat surrealistyczny i zastanawiam się czy czasem nie zanieść mojemu profesorowi właśnie tej wersji brulionowej - z dygresjami: Dioklecjan abdykował wraz ze swym współregentem. Źródła pozwalają domyślać się niemal mistycznych źródeł tego kroku: 'Gdybyście widzieli jak dojrzewa kapusta w moim ogrodzie - nie wzywalibyście mnie abym został cesarzem' - oto jego słowa. Mimo to - Dioklecjan miał usposobienie kompromisowe, czego dowodem jest fakt, że władcę Brytanii uznał za swego współregenta.... Wszystko przygrywa pocałunkom. Sonatiny w niderlandzkim salonie, dysputy tak bardzo wzniosłe i dalekie od spraw ciała, ich obojętny gwar nie porusza nawet listka na drzewie. Szum olch stojących rzędem nad wodą, stukot pocisków armatnich padających na lodową skorupę rzeki, śpiew światła na trawie obsypanej rosą, wszystkie szmery i szelesty nocy, wszystko przygrywa ustom, aby na siebie spadały, aby się zbliżały, aby się łączyły coraz gwałtowniej - wszystko przepelnione jest litością...*

*...Dioklecjan odzyskał i wzmocnił granice Mezopotamii, wypuszczał nowe monety, zmieniając wartość pieniądza. W roku 301 wydał edykt zawierający taryfę maksymalnych cen produktów spożywczych w całym Cesarstwie: „Edictum de pretiis rerum venalium” Spowodował on tylko wzrost drożyzny. Obowiązywał powszechny przymus pracy, produkcji i oddawania kontyngentów...*

*...Dom - chwieje się na wietrze jakby stał na konarze jednego dębu który ocalał od siekiery. Słyszę, że wraca niemiecki lotnik, który kwateruje w naszym domu na dole. Nie wiem kogo dziś zabił, ile oczu otworzył ostatnim przerażeniem, ile miasteczek otoczył hukiem bomb i dymem. Tam w misce rynku spał jeszcze otulony kamiennym płaszczem pomnik poety. Miasto dopala się pracowicie jeszcze teraz kiedy to piszę. Lotnik już otwiera drzwi swego pokoju w naszym domu, rzuca się na łóżko i zasypia, żaląc się tylko we śnie, że nie ma obok niego gorącego kobiecego ciała...*

*...Dioklecjan wzmocnił i uporządkował armię, podniósł jej stan liczebny do pół miliona ludzi.*

*W okresie największej przestrzenności Cesarstwa, armia miała dwadzieścia pięć tysięcy żołnierza. Za Sewera - trzydzieści trzy legiony, obecnie - czyli za Dioklecjana - sześćdziesiąt osiem legionów po siedem tysięcy ludzi, ponadto oddziały posiłkowe. Czterdzieści sześć legionów, czyli milites limitares - pogranicznicy, szesnaście legionów - rezerwa rozmieszczona planowo wewnątrz Cesarstwa. Przyboczny korpus cesarza dopełniał sił zbrojnych.... Wydaje mi się, że od tych liczb krew w moim sercu krystalizuje się w bryłki lodu. Czyż pocałunek nie jest tylko muśnięciem skóry, zakłóceniem spokoju powietrza? Lecz wróćmy do naszej intelektualnej chłosty...*

*...Utrzymanie tej potęgi zbrojnej mogło się dokonywać tylko kosztem stopniowej i całkowitej pauperyzacji ludności. Toteż upadek Cesarstwa - nieunikniony - stał się dla ludności bezbolesny - był wyzwoleniem. Wszystkie społeczeństwa wchodzące w skład imperium powitały z ulgą zgon cesarza i usilnie dopomagały wszystkim siłom odśrodkowym...*

*...Są tysiące sposobów, aby poczuć się szczęśliwym. Z tych nigdy nie wybierać najprostszego. Ten jeden kłamie...*

*Profesor Daleczko pochwalił pracę, poklepał mnie nawet po rękę swoją gorącą i wilgotną dłonią.*

*- Tylko dlaczego szkic? - zapytał. Można by myśleć, że pan jest zarozumiały... Ho ho, do szkicu to nam jeszcze daleko. Dobra, może nawet bardzo dobra praca seminaryjna... [o kule mi]*

**Anna Kamieńska:** Dzisiaj bardzo dużo jest młodzieży, która uczy się z zapalem, ale nauka nie jest dla nich tym, czym była dla nas w czasie okupacji, kiedy była po prostu jakimś schronem, jakimś szukaniem takiego azylu życiowego.

**Maria Brzezińska:** Kontakt z kulturą antyczną, rozmiłowanie w tej kulturze... Wtedy zostało przyjęte i to w pani poezji, w pani twórczości jest ciągle...

**Anna Kamieńska:** To zostało z pewnością jako pewien nurt, może nie taki, żeby były jakieś bezpośrednie nawiązania do wątków i motywów antycznych, ale pozostało chyba jako pewne dążenie do porządku, ładu, wewnętrznego jakiegoś takiego uspokojenia. I to dosyć dziwnie i może zabawnie, spotkało się u mnie z wpływami awangardy literackiej, właśnie Przybosa, czy Czechowicza. Awangarda - w mniemaniu ogółu - jest właśnie jakimś rozwichrzeniem języka literackiego i wyobraźni. Tymczasem - wręcz przeciwnie - była to dążność do wielkiej precyzji językowej, do przekonania o ważności każdego słowa, jego miejsca w utworze literackim. Ja zresztą nie znałam Czechowicza niestety, ale opowiadał o tym właśnie Pleśniarowicz, że Czechowicz czytał z młodym poetą każdy wers wiersza osobno i stawiał „plus”, „minus” - oceniał niemal każde słowo stojące w linijce wiersza. Tak ważne to było dla niego... Był dla niego ważny język poetycki, ale myślę, że w tym szerokim rozumieniu języka, który musi nieść jakieś ważne treści. Nie może być na przykład linijka wiersza, która składa się z kilku nieznaczących słów, tak że

te rzeczy jakoś właśnie splotły się w ten język, który stał się moim językiem poetyckim.

**Narrator:** *Noszę od dzieciństwa cały ten bagaż. Skrzypce ojca w czarnym futerale, drewniany talerz na napisem: „Do soli i chleba gości nam potrzeba”, jedną dróżkę głęboką, po której przesuwa się cień konia i wozu, ścianę pleśni, rozkładane łóżeczko, wazon z gołąbkami, przedmioty trwalsze nad życie, wypchanego głuszca na spróchniałym kredensie, ach - i jeszcze tę całą piramidę schodów i drzwi. To nielekkko dźwigać tyle rupieci, a wiem, że do końca nie pozbędę się ani jednego, aż przyjdzie mądra moja matka, przyjdzie znikąd, donikąd i powie: „Złóż to wszystko córuchno, to nie ma sensu”.*

**Maria Brzezińska:** A teraz, żeby już powrócić do Lublina, to chciałam zapytać właśnie o ten pierwszy rok po wojnie i...

**Anna Kamieńska:** To jest dla mnie też bardzo ważny rok związany z Lublinem, bo tutaj zaczęłam studiować - najpierw na KUL-u filologię klasyczną, tutaj zaczęłam pracować - w redakcji „Rzeczpospolitej” u Jerzego Worejszy. Kiedy redakcja „Rzeczpospolitej” wyjechała, razem z całym przesuwanym się frontem, z Lublina, przez pewien okres pracowałam - śmiech powiedzieć - jako redaktor techniczny „Kamień”. Tutaj przecież debiutowałam jako poetka w „Odrodzeniu”, wychodzącym jeszcze w Lublinie, tu poznałam pisarzy prawdziwych - Przybosię, Jastrunę, Parandowskiego, który był moim profesorem na KUL-u, znakomity filolog - Kowalski, który przejściowo też tutaj wykładał, no wspaniałych pięknych ludzi [poznałam] i to wszystko również jest związane z Lublinem.

**Maria Brzezińska:** A jak pani właśnie pamięta tamten okres, to znaczy ten „Wieczór młodych poetów”?

**Anna Kamieńska:** Ten wieczór oczywiście był dla nas bardzo ważny. Trochę nas tutaj kreowano - tych kilku poetów mieszkających w Lublinie kreowano na grupę. Myśmy nigdy nie byli grupą, po prostu byliśmy przyjaciółmi, czytaliśmy sobie swoje wiersze nawzajem, swoje utwory. Ja nawet pisałam w tym okresie sztuki sceniczne, które oceniał Zygmunt Kałużyński i niestety nieżyjący już Jerzy Pleśniarowicz. Ileż to było właśnie rozmów na te tematy... Więc nie była to więc jakaś formalna grupa, ale jakieś zaprzyjaźnione takie środowisko, no i jako ta grupa poetów lubelskich mieliśmy swój wspólny wieczór i nie powiem, żeby ten wieczór pierwszy poetycki wieczór był dla nas taki bardzo zaszczytny, dlatego że nasza poezja spotkała się z surową krytyką. Przede wszystkim z krytyką Mieczysława Jastruna. On był zdumiony, że myśmy tutaj, tuż pod bokiem Majdanka, pisali takie wiersze jakieś zupełnie nie związane z rzeczywistością nas otaczającą, że raczej szliśmy właśnie tropami Czechowicza, że szukaliśmy jakiś spraw dotyczących właśnie sensu życia i tak dalej, wówczas, kiedy tutaj właśnie działo się coś tak strasznego. No,

może złożyła się na to nasza młodość i uciekanie od tej grozy w jakiś inny świat - świat poezji. No, poza tym tutaj w Lublinie został wydany taki zbiorowy tomik, który przypuszczam mogę traktować jako swój debiut książkowy - to jest: „Wiersze młodych poetów lubelskich”. I tam są wiersze mojej bliskiej przyjaciółki Julii Hartwig, wiersze właśnie Jerzego Pleśniarowicza, Zygmunta Mikulskiego i kilku jeszcze innych...

**Maria Brzezińska:** I to już wyszło w [19]45...

**Anna Kamieńska:** To wyszło w [19]45... Więc ile to lat? Nawet boję się policzyć...

**Narrator:**

*Kiedy trafiony krzykiem upadłem pod chłodem brzozy,*

*Zdumiałem się, że w cieniach posępnego ognia*

*Jesteśmy zdolni jeszcze do takich uwidzeń.*

*Do traw złotych pod światło i obłocznych czaszek*

*I do krzaków kwitnących ptakami jak róże*

*Lotów jelenich koron przez błękitne mgławy.*

*Zdumiałem się,*

*Bo wszystko to wstało od ziemi naszych źrenic oporem*

*A bez związków z nami żadnych*

*Chociaż z palców ściekały jak krew.*

*Umierając ujrzałem z głębi ziemi*

*Biel dziecinnych nóżek stygnącą*

*I w powiewie jak przeszły przeze mnie*

**Anna Kamieńska:** Wyjechałam w [19]47 do Łodzi. Na przełomie [194]7 i [194]8 do Łodzi i pracowałam w takim czasopiśmie „Wiś”. To było takie pismo dzisiaj już zapomniane, redagowane przez Jana Aleksandra Króla, a przeznaczone dla wiejskiej inteligencji. I ono przez pewien czas stanowiło nawet pewną taką konkurencję jakby, w każdym razie partnera dialogu dla „Kuźnicy”. Tam debiutowali niemal wszyscy dzisiaj ważni krytycy literaccy, ci poeci właśnie debiutowali we „Wsi”. A potem kiedy redakcja „Wsi” przeniosła się do Warszawy - było to w [19]49 roku i ja przyjechałam wtedy do Warszawy...

**Maria Brzezińska:** Myślę, że za każdym razem, kiedy przyjeżdża pani, już teraz będąc od lat mieszkanką Warszawy, że za każdym razem przywozi pani pewne wspomnienia, ale i odbiera nowe wrażenia, prawda?

**Anna Kamieńska:** Tak, właśnie Lublin dzisiejszy to już nie jest ten Lublin, który ja znałam, który się wpisał we mnie jako Lublin mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. On się tak rozrósł,

tak rozwinął, powstało mnóstwo nowych osiedli, zabudował się aż niemal właśnie do Świdnika, gdzie dawniej przecież była tylko wieś. Kiedyś, wracając z Zamościa, wysiadłam z autobusu w jakiejś zupełnie nie znanej mi dzielnicy, w jakimś obcym mieście i musiałam pytać ludzi, czym byłam bardzo zawstydzona pytać, jak ja się dostanę do środka miasta - do Lublina.